

Deyna z nami poznawał miasto

BOHDAN ŁAZUKA | Piosenkarz i aktor o swoich przyjaźniach ze sportowcami i Warszawie sprzed pół wieku.

🐦: Czy to prawda, że był pan zawodnikiem ligowym?
BOHDAN ŁAZUKA: Prawda.

Ale nie mogę znaleźć pańskiego nazwiska na liście piłkarzy ligowych.
A czy ja mówię, że byłem piłkarzem? Grałem w koszykówkę w drużynie Startu Lublin u pana trenera Zdzisława Niedzieli. Między nami mówiąc, to ja głównie siedziałem na ławce. Ale wychodziłem na parkiet na kilka minut. A legendarny trener Władysław Maleszewski powołał mnie nawet na obóz młodzieżowej reprezentacji Polski.

I co dalej?
Nic, skończyło się w sposób naturalny. Wyjechałem z Lublina na studia, w 1956 roku. W szkole muzycznej uczyłem się gry na oboju, bo najbardziej przypominał saksofon. W latach 50. saksofon, guma do żucia i Frank Sinatra jako oznaki fascynacji Ameryką nie były mile widziane. Obój tak źle się nie kojarzył. Kiedy ukończyłem szkołę teatralną i już zadomowiłem się w Warszawie, miejsce koszykówki na liście ulubionych sportów zajęła piłka nożna.

Ale już pan nie grał?
Tylko w meczach Aktorzy – Dziennikarze. Raz nawet ściałem Tomasza Wołka. On jednak wstał i literacką polszczyzną zwrócił się do mnie: panie Bohdanie, tak nie można.

O ile znam redaktora Wołka, może pan mówić o szczęściu. Musiał pana lubić...
Raczej mam szczęście do ludzi. Przez całe życie dobrze trafiałem.

Począwszy od pańskich nauczycieli: Ludwika Sempolińskiego i Kazimierza Rudzkiego. Doszukuję się czasami związków ludzi kultury, sceny i nauki ze sportem, ale jakoś nie widzę Sempolińskiego nie tylko na boisku, ale nawet na trybunach.
Rzeczywiście, Ludwik Sempoliński nie interesował się sportem. Natomiast profesor Rudzki był wielkim kibicem. Chodził z Andrzejem Łapickim na mecze na Stadionie Dziesięciolecia. Traktowali to jak święto. Świetnie się rozumieli. Kiedy jeden rzucał jakąś uwagę na temat gry, drugi już coś dopowiadał. Gdyby te rozmowy nagrać, mielibyśmy przykład rozważań intelektualistów o piłce nożnej lub lekkoatletyce.

Jak Tadeusza Konwickiego z Gustawem Holoubkiem i Stanisławem Dygatem.

Coś takiego. W Teatrze Syrena dzieliłem garderobę z Adolfem Dymszą. On nie tylko był kibicem, ale przed wojną grał w drugiej drużynie Polonii. I cokolwiek by się powiedziało o Włodku Lubańskim, innych piłkarzach Górnika czy Legii, to Dymsza zawsze mówił: „Eee tam, przed wojną to byli piłkarze. A Henryk Martyna był najlepszy z nich”. Zamykał w ten sposób dyskusje. A Martyna to był stoper, metr pięć w kapeluszu i tyle samo w pasie.

A kto był najlepszym polskim piłkarzem?
Kaziu Deyna. Myślał na boisku jak Spasski z Fischerem razem wzięci. Nie dryblował jak Garrincha albo „Kici” Brychczy, ale robił co trzeba i nigdy nie miał kontuzji. To też świadczyło o jego inteligencji. Bez Deyny nie byłoby sukcesów Legii i reprezentacji.

Znal go pan osobiście?
Jak nie? Po przyjeździe do stolicy czuł się wyraźnie zagubiony, więc kilku życliwych kolegów postanowiło się nim zaopiekować. Trzymaliśmy się razem z Januszem Żmijewskim, Władkiem Komarem, Władkiem Grotyńskim, Józkiem Prutkowskim. Kaziu poznawał z nami miasto.

Dla młodych czytelników potrzebne jest wyjaśnienie, kim byli ci panowie...
Proszę bardzo. Janusz Żmijewski, czyli „Jojo”, to prawoskrzydłowy Legii i reprezentacji Polski. Kiedyś wbił Belgii trzy bramki na stadionie Heysel. Łazienkowska go uwielbiała. Wyjechał do Kanady. Spotkaliśmy się w Toronto przy okazji mojego

Kaziu Deyna myślał na boisku jak Spasski z Fischerem razem wzięci. Robił zawsze co trzeba i nigdy nie miał kontuzji

koncertu. Władek Komar – wiadomo. Władek Grotyński – podobnie.

No, nie jestem pewny. Dziś już nie wszyscy wiedzą, kim był Kazimierz Górski, a słyszałem, jak chłopak pytał ojca, czy „ten Deyna to był Polak”.
Komar był mistrzem olimpijskim w pchnięciu kulą. Kiedy wygrał konkurs w Monachium, wysłałem mu depeszę o treści: „Jak ktoś jest najlepszy, to nie ma niego siły”. Kilka miesięcy później Władek przyszedł na mój występ, zdziwiłem się, że nie zajrzał za kulisy, ale zamiast niego zapukał portier z telegramem do mnie, o tej



DAREK GOLIK

samej treści. Taki był Władziu. Wystarczyło, że na siebie spojrzeliśmy, i wszystko było jasne. Nic nie musieliśmy mówić.

Grotyński charakterem idealnie do niego pasował.
Władek Grotyński miał talent do każdego sportu, za jaki się wziął. Wyrzucał piłkę ręką za połowę boiska, bo był też chyba mistrzem Polski juniorów w rzucie dyskiem. Znakomicie grał w ping-ponga. Kiedyś Jacek Gmoch wyzwał go na mecz tenisowy na kortach Legii. Władek przegrywał już w setach 0:2, jednak wygrał 3:2. Przez te dwa przegrane sety uczył się dopiero tenisa, bo pierwszy raz wszedł na kort. Jak już się zorientował, o co chodzi, nie dał Jackowi szans.

A kim był Józef Prutkowski?
Lwowiakiem, oficerem ludowego Wojska Polskiego, który przeszedł szlak bojowy „od Lenino do Berlino”. Organizował teatr w dywizji kościuszkowskiej. To otwierało mu wszystkie drzwi w Polsce. Nie był jednak typem politruka. Wprost przeciwnie. Pisał wiersze, fraszki, kalambury, słuchowiska radiowe. Kochał sport, a przede wszystkim Legię. Podobno to dzięki niemu Robert Gadocha został po wojsku w Legii. Prutkowski poszedł do Zenona Kliszki

Chodziliśmy do wspólnianego SPATiF-u w Alejach Ujazdowskich, Szanghaj na Marszałkowskiej, Kame-ralnej na Foksal lub do Adrii na Moniuszki. Oczywiście nie piliśmy tam tylko wody sodowej, ale każdy miał umiar. Wystarczy powiedzieć, że Władek Komar i Kaziu Deyna wrócili z Monachium ze złotymi medalami olimpijskimi, a Włodek Sokołowski, inżynier architekt, został pierwszym Polakiem, który skoczył o tyczce 5 metrów. Wszystkie dziewczyny się w nim kochały. Był czas na sport, naukę i zabawę. Czasami prosto z knajpy szliśmy na mecz Legii. Zosia Czerwińska, która przyszła pierwszy raz w życiu na mecz piłkarski, razem z Kaliną Jędrusik, spytała mnie w przerwie: Bodziu, a do ilu oni grają?

Czy basen Legii rzeczywiście był leśnim salonem towarzyskim stolicy?
Zdecydowanie tak. Mieszały się tam różne środowiska. Inteligencja, sportowcy, artyści, cinkciarze, panienki, na pewno i panowie ze spółdzielni „ucho”. Niestety, oprócz miłych wspomnień mam jedno szczególne. Spodobała mi się tam pewna siatkarka Legii, ale nie mogłem jej poświęcić tyle czasu, ile bym chciał, ponieważ w studiu telewizyjnym na placu Powstańców miałem akurat jakiś program. Poprosiłem więc Grotyńskiego, aby do mojego rychłego powrotu zaopiekował się koleżanką. Kiedy wróciłem z telewizji, nie było już ani siatkarki, ani Władka.

Nie wykluczam, że gdyby na miejscu Grotyńskiego znalazł się Kaziu Deyna, byłoby podobnie.
Władek lubił błyszczeć w środowisku. Kaziu był jego przeciwieństwem. Przypominał mi trochę wybitnego aktora Aleksandra Dzwonkowskiego, który jak powiedział w teatrze w tygodniu dwa zdania, to znaczyło, że był bardzo rozmowny. Kiedyś wrócił z urlopu, koledzy pytają go, jak tam było. Piii – odpowiada Dzwonkowski. A pogoda? – Piii. A ryby? – Piii. Wiesiek Gołas, który ma wyjątkowy dar naśladowania innych osób, opowiedział tę historię

w bufecie, wiadomość o tym dotarła do Dzwonkowskiego, który zareagował: „Co za teatr. Nic nie można powiedzieć, bo od razu plotkują”. Ale ten sam Dzwonkowski wychodził na scenę i natychmiast przykuwał uwagę, potwierdzając teorię, że nie ma małych ról, są tylko mali aktorzy. Ludwik Solski jako Stary Wiarus w „Warszawiance” nic nie mówi, a mimo to został zapamiętany. Z Kaziem Deyną było podobnie. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek wygłosił jakąś kwestię, która składałaby się z więcej niż dwóch zdań złożonych. Ale kiedy wychodził na boisko, to wszyscy na niego patrzyli. Artyści tak mają.

Czy pan jest kibicem Legii?
Prawdę mówiąc, emocjonalnie bliżej mi do Polonii. Ale, jak widać, sympatia do jednego klubu nie wyklucza szacunku dla drugiego. Mieszkalem kiedyś przy ulicy Wałowej, skąd na stadion Polonii były dwa kroki. To główny powód sympatii.

Pański syn opowiadał mi, że stadion Polonii był jednym z pierwszych miejsc jego spacerów, jeszcze w wózecku. A z Ogrodu Krasińskich słyszał odgłosy meczów na Konwiktorskiej.
No właśnie. Wiele lat później został jednym z dyrektorów Polonii, a wcześniej spółki organizującej Euro w Polsce.

Pan został uhonorowany tytułem Przyjaciela Euro 2012. Po „Tajemnicy mundialu” to było oczywiste.
„Tajemnica Mundialu” to piosenka znana też pod innymi nazwami. Stefan Rembowski napisał słowa i muzykę na kilka tygodni przed mundialem w Hiszpanii. Wymyślił tę uliczkę w Barcelonie, w którą wyskoczył Boniek. A potem wszystko się sprawdziło.

Podobno był pan na meczach reprezentacji także za granicą?
Byłem nawet na Wembley, jeszcze na starym, kiedy za Piechniczka grała Polska, a bramkę strzelił Marek Citko. Dawniej częściej chodziłem na mecze. Ale oczywiście na Stadionie Narodowym, podczas mistrzostw Europy, jako

Przyjaciela Euro też byłem. Ostatnio mam mniej czasu. Gram barona Apfelbauma w „Biesiadzie u hrabiny Kotłubaj” Witolda Gombrowicza, którego uważam za wybitnego pisarza. W jego dziełach nie ma ani jednego zbędnego słowa, a wszystkie są mądre. 15 stycznia w Teatrze Telewizji odbędzie się premiera spektaklu. Reżyserem jest Robert Gliński.

Słuchałem pańskiej nowej płyty „Nocny Bohdan”. Zaczyna pan od duetu z Maciejem Maleńczukiem, kibicem Cracovii: „Znów Bohdana nie ma do rana, znowu Bohdan otwiera szampana”. I ładnie pan rozmawia w innej piosence z Eugeniuszem Bodo...
Proszę pana, cieszymy się życiem, zachowując powagę. Mam optymistyczny stosunek do życia, łatwiej znoszę więc jego przeciwności. Na promocję płyty na Rynku Starego Miasta przyszło sporo osób. Podszedł do mnie starszy, kulturalny pan, przedstawił się: „Józef Tejchma jestem”. To był peerelowski minister kultury, który nie tylko znał się na rzeczy, był życzliwy twórcom, ale miał też poczucie humoru. Kiedyś pojechałem ze Zdzichem Maklakiewiczem do Władysławowa. Mieszkaliśmy niby razem, ale każdy miał swoje towarzystwo, więc spotkaliśmy się po dwóch tygodniach. Zdzichu kupił trzy pocztówki. Jedną napisał do matki, drugą do żony, została mu jedna i zastanawia się, komu wysłać. Mówię: „Wyślij do ministra kultury”. I tak zrobił. Zaadresował: pan minister Józef Tejchma. Treść krótka: „Jesteśmy z Bodziem Łazuką we Władysławowie. Tu jest fajnie. Zdzichu Maklakiewicz”. Kilka dni później sekretarka w jego teatrze mówi: „Panie Zdzisiu, dyrektor pana wzywa”. Zdzichu wchodzi, roztrzęsiony dyrektor pokazuje mu kopertę z nadrukiem Ministerstwa Kultury. Zdzichu otwiera, a tam pocztówka o treści: „Jestem z żoną w Wiśle. Tu też jest fajnie. Józek Tejchma”.

Kazimierz Górski i pan gracie w „Piłkarskim pokerze” Janusza Zaorskiego role nieme, a pamięta się was jak Solskiego w „Warszawiance”.
Wie pan, my przyszłiśmy wtedy na plan na stadionie Legii chyba prosto z Zielonego Barku w hotelu Victoria. Nie wykluczam, że w tym ulubionym miejscu Kazia wykuwała się koncepcja gry polskiej reprezentacji. On zresztą miał oko. Kiedyś ktoś go spytał po meczu, czy ja się nadaję do gry. Trener Górski odpowiedział: „Ja bym z niego zrobił jednego z lepszych piłkarzy w Europie. Wydaje mi się, że zawodnik Łazuka ma predyspozycje ruchowe”

Pan to potwierdza filmie „Nie lubię poniedziałku”, poruszając się z wająch w rękę po torach tramwajowych.
Koło restauracji Gastronomia, naprzeciwko Muzeum Narodowego, gdzie kręciliśmy film, jakiś robotnik torowy zostawił wająchę. Wzięłem ją do ręki, wspinał się operator Mieczysław Jahoda zauważył, że powinienem wypróbować ją na torach. Początkowo scena miała nie wejść do filmu, a dziś zna ją każdy. Tak to w życiu bywa. Wiele dzieje się przypadkiem, a ja mam szczęście. ☺
—rozmawiał Stefan Szczepłek